№ 35. Warszawa, dnia 17 (29) Sierpnia 1874 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie, Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia Nr 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

WAKACYE STAREGO PEDAGOGA.

Znalazł na bruku, Podał do druku,

Teofil Tarcza.

Czytam ciągle po pismach i po wielkich księgach, że ze wszystkich stanowisk, ze wszystkich fachów, jakim się poświęcają ludziska tej ziemi, stanowisko elementarnego nauczyciela jest... najszczytniejszem i... i najpożyteczniejszem razem!

Czytam — no, i zgadzam się na to.

Może być bowiem w istocie, coś bardziej... jakby tu powiedzieć?.. bardziej pożytecznego pod słońcem, jak z tych małych osiołków-aniołków, któremi są dzieci, wyrabiać istoty, tak rozumne, tak piękne i szlachetne potem, jak ot, nie wytykając palcem, jakiemi są... wszyscy moi chociażby właśni uczniowie?

— Zaiste nie! I ten świat cały, proszę — ten świat, co mógłby być jedną wielką menażeryą lub oborą, gdzie ludzie, jak zwierzęta, pożeraliby się wzajem i pożarli, a jest jednakże zbiorem tylu wielkich, tylu geniuszy, tylu bohaterów i ulaurowanych, — ten świat, mówię, komuż to wszystko zawdzięcza, jeśli nie nam, nie nauczycielom elementarnym?

No, bo że i ja właśnie należę do grona tych członków, którym pisma i księgi tak wysoką zasługę przyznają — czytelnik domyśla się zapewne.

Tak jest, drogi czytelniku — rekomenduję ci się Sulpicyusz Anatazy Tyberyusz trzech imion Trzepalski, nauczyciel czterdziestoletni różnych szkółek elementarnych Królestwa i Cesarstwa, a ostatecznie takiż nauczyciel szkółki elementarnej w wielkiej wsi Duża Ruda pod Opolem. Mówię „ostatecznie," to znaczy do czasu, dopóki w skutek strasznych intryg dawnego tejże wsi sołtysa, a i żyda-pachciarza, co niedawno tamże dla handelku osiadł, — nie zostałem zmuszony wynieść się z owej Rudy, aby się osiedlić, na stałe już w Warszawie.

Miałbym ja tu, wyznaję, szczerą ochotę, opowiedzieć ci, czytelniku, o wszystkicht ych właśnie najczarniejszych i najokropniejszych intrygach owych dwóch właśnie, jednej chrześciańskiej, drugiej izraelskiej osobistości. których, przy wrodzonej awersyi swojej do wszelkiej dyplomacyi, jako też i główrnie przy wstręcie do walki z wszelką niegodziwością, — najniewinniejszą padłem ofiarą; ale, pomyślałbyś jeszcze może, że już i imię Tyberyusz noszę dla srogości swojej, kiedy tymczasem, świadcz mi Boże! ja najłagodniejszego jestem charakteru, i że się nazywam Trzepalski to też nie dla tego, abym jakiś wilczy do trzepania młodej skóry pociąg i ferwor czuł w sobie, a tylko że było dopuszczeniem Bożem, abym się z rodziców, co takie nosili nazwisko, narodził.

Wstrzymuję się też od wyświecenia na jaw wszystkich owych, wielkiej niegodziwości ludzkiej postępków, i żem wspomniał nawet o nich, za to cię już, szanowny czytelniku, najmocniej przepraszam. Szło mi widzisz o to tylko, abyś czasem nie przypisał mojej własnej winie, jakiejś w obowiązkach opieszałości i niedbalstwu, tego wyrugowania mnie z miejsca, gdziem tyle czasu poczciwie i po chrześciańsku żywot pędził.

Otóż z tej już strony uspokoiwszy się nieco, wracam do rozmyślań, które mi przy wzięciu się obecnem do pióra, przyszły do głowy, i downiosków idem, co konsekwencyą snać samą rzeczy porodzone, teraz w dalszym ciągu na myśl mi lecą.

Myślę mianowicie sobie: że, jeżeli istotnie ów fach mój i owo stanowisko elementarnego nauczyciela, które zajmuję, tak wielką korzyść rodzajowi ludzkiemu przynosi, — jeżeli istotnie zasługi, które temuż, stanowisku niektórzy przyznają, są prawdziwe, a nie wyrażając się klassycznie, effemeryczne tylko i abstrakcyjne, — to, to zkąd pochodzi, że od lat czterdziestu, jako i w tej chwili, ja właśnie, taki nauczyciel, na nogach swoich całych jeszcze bótów nie widziałem?

Być wielkim i chodzić w połatanych lub podartych bótach!

Być wielkim — i takiemi plamami świecić na rękawach!

Być wielkim — i nie mieć co jeść!?

Wspomniałem, iż stan ten trwa już u mnie od lat czterdziestu. No—przez hyperbolę przesadziłem trochę. Była bowiem chwila, chwila w mojem życiu, gdzie ba! we fraku i w białych rękawiczkach, nietylko w czystych i całych bótach, wystąpiłem przed oczy zdumionego świata. Opisałbym ją, tę chwilę tu z rozkoszą; ale, że to wspomnienie wywołuje we mnie pewne inne, treści drastycznej, na które musiałbym się nieco zarumienić, — daję pokój. Śpi w grobie już moja nieboszczka, pocóż ją budzić przypomnieniem blasku i szczęścia potem, którego raz tylko przez cały przeciąg dwudziestoletniego najprzykładniejszego małżeńskiego pożycia, stała się uczestniczką przy boku swojego małżonka!

Ale to ten jeden raz tylko — bo zresztą... Boże skarz mnie! jeżeli np. stopy moje pokalały się kiedykolwiek użyciem przepychu, który jednakże wszystkich innych ludzi, wszystkich mówię, oprócz nędzarzy i pedagogów, zwykłym jest udziałem. A jednak, powtarzam, wielkim jestem... zasłużonym jestem i... i coś muszę znaczyć, kiedy stróż domu nawet, w którym mieszkam, zamiast mnie nazywać panem guwernerem, nie nazywa nigdy, snać instynktowym szacunkiem powodowany, inaczej jak... panem *gubernerem!* Gubernerem! i czyż mi tylko ten tytuł przystoi? Nie większem-że jeszcze czemśkolwiek jestem? Jako nauczyciel, nie władam-że światem całym? — nie rozporządzamże nim? nie rządzę?...

Uczniowie moi są wszędzie. Krzątają się po ziemi całej, jak mrówki. Nie tylko ich znajdziesz po Europie i po Azyi, ale nawet po Afryce i drugiej półkuli! Tu są wielkimi bankierami, tam zakładają wielkie towarzystwa; tu są rycerzami, tam ministrami nawet. Tu prowadzą przez góry żelazne koleje,

tam po pustyniach Arabii uczą cywilizacyi Beduinów! Od Kamczatki aż do Przylądka Dobrej Nadziei i stepów Patagońskich, wszędzie, wszędzie ich spotkasz, tych wypiastowanych przezemnie, wymustrowanych i wykierowanych na ludzi, zuchów moich! Wszystkich wyrobiła — wygładziła — ociosała z kantów — nakręciła — przekropiła rózgą — dopasowała do życia i w świat puściła ta... stara dłoń moja, która teraz, że nic lepszego nie ma do roboty, musi oto, aby bezczynnie nie grzebać w kieszeni, smarować te puste zygzaki po papierze i — na bazgracza mnie pasować.

Pogardzałem, przyznam ci się czytelniku, sam zawsze tem rzemiosłem, pomimo żem innych pisać z obowiązku uczył.

Mówię — pogardzałem rzemiosłem literata.

Co bo pożytku w bazgraniu?

Nie lepiejże uczyć dzieci, jak mają żyć potem na świecie, aby być poczciwymi i honorowymi ludźmi? Literaci!!... Bożeż ty mój, cóż to za naród!

Czytam oto, co ci ludzie plotą o nowych niby środkach i o nowych sposobach prowadzenia przez nauczycieli młodzieży. Cóż to tam za bzdurstwa, miły Panie!

Piszą np. że można się całkiem obejść przy wychowywaniu dzieci bez rózgi. No proszę! choćby jedno to tylko, jakież to głupstwo! I poco to się silić stary systemat, zwyczaj utrwalony dla wartości i dobroci swojej wiekami, nowatorstwem tam bez sensu i podstawy, obalić?

Nie jestem ja przecie — powiedziałem to już na wstępie — katem; ani też to nie jest, bym jakiś wilczy lub tygrysi miał do skóry ludzkiej apetyt; ale, żeby się znów całkiem obywać bez rózgi, całkiem bez niej i całkiem *mości dobrodzieju*, — to bzdurstwo, toutopia niewarta trzech groszy! „Różczką Duch Święty dziateczki bić radzi!“ Duch Święty radzi! — stoi na pierwszej stronicy katechizmu. A co Duch Święty radzi, jeżeli to radzi, i jeżeli to prawda że radzi, — to to przecie znaczy coś więcej, niżeli *mościrdzieju* co tam ci panowie, ci tam, ci tam... jakże ich tam nazwać, co radzą?

Lecz widzę, że zachodzę w przedmiot nie ten zupełnie, dla którego wziąłem dziś za pióro — boć nie żadna chęć nauczania tak dorosłych a dojrzałych już ludzi, jakiemi spodziewam się są moi czytelnicy, pobudką mi w tem była, a skromniejsza daleko, choć płochsza (przyznam się do grzechu!) zabawienia oto kogoś, coby się bardzo już nudził, prostą a niewymędrkowaną opowieścią o tem, jak to czasem nauczyciel elementarny, pomimo woli nawet swojej i tam gdzie tego wcale nie szuka, filantropem i dobroczyńcą ludzi pozostać się musi, a jak z tego jednakże zawsze wypadnie, że podarte bóty pokrywają preceptorskie stopy jego.

Otóż ta opowieść jest taka:

Pozbawiony dziwnem zrządzeniem losu wszystkich odrazu lekcyi, które mi przez czas jakiś dostarczała szacowna przychylność moich prywatnych znajomych i przyjaciół, postanowiłem dla zdobycia sobie chleba napowrót, zacząć poszukiwanie tychże lekcyj na drodze publicznej, mianowicie przez ogłoszenia, podawane w Warszawskim lub Codziennym Kuryerze. Długo namyślałem się pierwej, który z dwóch Kuryerów obrać sobie za pole do takiego jawnego przed światem wystąpienia. Miałem się tam całem swojem imieniem i nazwiskiem podpisać — miałem powiedzieć, że od czterdziestu lat już uprawiam trudną rolę elementarnego nauczania — że robię to w istotnem poczuciu missyi, do jakiej Bóg mnie powołał, z szczerej chęci przynoszenia *możliwej* ulgi ludziom, którzy często na zapłacenie szkoły za naukę dziecka swego nie mają... etc. etc. to wszystko, cokolwiek pragnącym korzystać z praktyki mojej, gwarancyą i pewność, że dzieci swoje w dobre ręce oddają, podać mogło. Sprzedawszy najbardziej cenne z rupieci swoich żydowi i otrzymawszy za to całe cztery ruble, poniosłem je nareszcie do obu Redakcyi obudwóch wymienionych Kuryerów, przedzieliwszy kwotkę na dwie połowy; tak bowiem zrobić mi nakazała sprawiedliwość, po wyczerpującym rozbiorze wszystkich okoliczności *pro* i *contra*, tak nareszcie i własny interes w uważeniu tego, iż w razie przeciwnym mógłbym ewentualnie pobudzić którykolwiek z Kuryerów do słusznej nawet skądinąd chęci szkodzenia mi w dopięciu celu, za tę właśnie obojętność okazaną względem jednego z nich, kosztem drugiego.

Przyszły mi na pamięć straszne cierpienia, których, za pomijanie podobnych w życiu ostrożności, musiał doświadczyć poczciwy poprzednik mój Rousseau, a jakkolwiek nie porównywałem rozgłosu, jaki miał sławny mąż ten w świecie ze swoim, to jednakże nie przypuszczałem, aby imię człowieka, który jak ja, przez lat dziesięć, był w ogromnej parafii Duża Ruda pod Opolem, jedynym elementarnym nauczycielem, znanym wszystkim tamecznym mieszkańcom, — aby mówię, to imię moje, nieznane było pismom, które wiedzą o wszystkiem, co w kraju się dzieje.

Tak oddawszy cztery swoje ruble na ogłoszenia po Kuryerach, otrzymałem po niejakim czasie kilka adresów, wskazujących mi: dokąd się mam udać dla porozumienia z opiekunami dzieci, które miałem przyjąć pod swoje kierownictwo.

Pierwszy adres brzmiał: *Ulica Radna, Nr. 6, Kakusińska.*

Jestem na ulicy Radnej — wchodzę do pani Kakusińskiej.

Poczciwina widocznie staruszka — sześcioro dzieci i na wstępie dowiedziałem się zaraz, że utrzymuje się z datków publiczności składanych na nędzę wyjątkową.

— Panie mój drogi, — mówi, — oto małego chociaż tego smarkacza chciałabym wypromować na coś lepszego w świecie. Gwałtem chce się uczyć, jak mi Bóg miły, dobry panie! Znajdzie gdzie przypadkiem okładkę choćby z książki albo kartkę wydartą, nuż ją miąć zaraz i przewracać w ręku, jakby jaki uczony. Gdybyż choć trochę abecadła nauczył go pan dobrodziej, choćby paru liter,.. to on się reszty już sam douczy. Polecam go — polecam panu dobrodziejowi. Nieboszczyk mąż mój, Panie świeć nad jego duszą! zajmował za życia ważne nawet bardzo stanowisko — był komornikiem — toć i grosza miałam wtedy dosyć. Pan dobrodziej wie dobrze, że w fachu tym są dochody. Umarł — przepadło wszystko. Stasiu! padnij do nóg panu. A daleko pan dobrodziej stąd mieszka?...

— Na Browarnej, odpowiedziałem.

— Na Browarnej! — miły Boże!.. jak to się wszystko dobrze składa!.. Toż bliziutko, bliziuteńko; o parę stąd kroków! Jak to dobrze!.. Ale jabym go nawet i dalej posłała, choćby na koniec świata po naukę!..

Łzy obtarła — i mnie też przyznam się otwarcie zaswędziło trochę koło nosa...

Wskazawszy tedy, gdzie i kiedy malec ma przychodzić do mnie na naukę, pożegnałem panią Kakusińską.

— No — pomyślałem sobie, wychodząc z jej mieszkania i czytając drugi adres, wskazujący mi, miejsce, na ulicy *Rozbrat* pod *Nr. 3-m* — pierwsza w prawdzie ta lekcya nic mi na biedę moją nie pomoże; sercu tylko lekko jakoś, że się dobry zrobiło uczynek... alež za to ta druga na Rozbracie, ta druga, to już pewno dochodniejszą będzie. Idźmy na Rozbrat.

I na Rozbracie znalazłem się po niespełna półgodzinie.

Znajduję domek drewniany, w kiepskim bardzo stanie, z oknami pozalepianemi papierem, z drzwiami trzęsącemi się na zawiasach. Wchodzę do mieszkania pewnego Szadusińskiego. Myślę sobie: dziwna anologia nazwisk; tamto Kakusiński, ten Szadusiński. Oby i pod innym względem nie znalazło się takiej samej analogii!

— Dobroczyńco mój! Dobrodzieju! — zawołał na mnie, przy wejściu zaraz, dość czerstwy jeszcze i nie wiekowy, z ogorzałą twarzą mężczyzna, odrywając się od roboty, którą przy ślusarskim widocznie warsztacie bo z pilnikiem w ręku, wykonywał. Po minie poznaję zaraz, że Jegomość to ten sam pan chyba, co się niedawno ogłaszał w Kurjerze. Rychtyg tak wyglądał mój pan bakałarz... tfy! pan Profesor chciałem powiedzieć... Nawet faworyty takie same! Niechże Jegomość siądzie, — proszę! proszę! — A, oto i mój wyrostek. Szelma chłopak! Ani rusz do nauki, do żadnej roboty — tylko urwisować się i basta! Co tu z nim zrobić radź Jegomość. Umieramy z głodu prawie ja i matka. Troje dzieci jeszcze młodszych od niego... pokazałbym ich jegomości, ale wyszły z matką właśnie nazbierać wiórów trochę do komina, troje powiadam — ten niepoń czwarty — a uczyć się panie jak nie chce niczego, tak nie chce!.. Toby Jegomość może z nim co i zrobił od biedy. Jabym mu za to... ot już dom cały opatrywał kluczykami bezpłatnie. Już ci tak... no bo czem innem, gdybym duszę nawet rozerwał, przysłużyćbym się Jegomości nie mógł. Wprawdzie Jegomość nie potrzebujący widać wcale, bo ogłasza tylko, że z prawego serca i chcąc ulgę przynieść ludziom, zajmuje się bakałarstwem, to jest chciałem powiedzieć uczeniem dzieci... ale zawsze, zawszeć to praca jednak, za którą powinienbym czemś się odsłużyć. A co ja tu mogę?

— No, co to to nie jest, bym był niepotrzebujący — wtrąciłem wreszcie, kiedy mi już ojciec poczciwy pozwolił przyjść do słowa. Potrzebuję ja też jak pan majster, potrzebuję, i to bardzo, mój panie. Ogłosiłem, że chcę przysługiwać się publiczności, że za tanie bardzo pieniądze mogę się podjąć uczenia dzieci, że wielkie powołanie czuję do swego zajęcia— święta i to prawda, mój panie! Nic tam nie ogłosiłem, czegobym naprawdę nie miał w duszy i w sercu. Ale — potrzebuję — potrzebujący jestem, i dobrze potrzebujący, mój panie. No — nic to jednakże nie znaczy, — przerwałem, widząc, jak okropne oczy zaczął robić na te słowa moje poczciwy rzemieślnik. Nic to mości dobrodzieju. Malec pański może się uczyć u mnie i mądrym zostanie człowiekiem.

— Dobroczyńco mój, zbawco! — odrzekł na to znowu biedny człowiek. Toż ja Jegomości ręce i nogi będę za to całować, mój Jegomość!.. No, bo że niczem lepszem odpłacićbym mu się nie mógł, świadcz mi Boże!.. Nie jestem majstrem wcale a czeladnikiem dopiero, mój Jegomość. Nie mam nawet wyzwolenia żadnego. Praktykuję prywatnie. Ożeniłem się zawczesnie i to mnie zgubiło. Padnij do nóg jegomości! — krzyknął zwracając się groźnie do malca, który nos ucierając ręką, niby z płaczem, stał w kącie dotąd nieporuszony.

I znowu hołd ten należny monarchom tylko, spotkał mnie w tej chwili po raz drugi.

Rozstałem się z panem Szadusińskim.

Podwaliński — spostrzegłem adres trzeci. I nasamą końcówkę *iński*, tak mi się już jakoś zrobiło czczo koło żołądka, iż przeczuwając, że sensacya ta głód mi wróży, który mnie czeka po otrzymaniu i 3-ej tej jeszcze lekcyi, schowałem kartkę napowrót, pomimo że ulica dokąd miałem się udać nie była nawet tak bardzo od ulicy Rozbrat odległą. „Zatrzy-

mam sobie tego mieszkańca Żelaznej ulicy na potem, a teraz popróbuję jeszcze szczęścia u pani Modnickiej, utrzymującej magazyn strojów damskich na Krakowskiem-Przedmieściu" — pomyślałem sobie i... po kwandransie drogi stanąłem w nowem tem miejscu. Po półgodzinnem jeszcze oczekiwaniu w przyćmionym przedpokoju, wiodącym do dużego salonu, umeblowanego z przepychem, wyszła do mnie ślicznej twarzy i wysokiego niezmiernie wygórowania na tyle postaci swojej osoba, która nie zapraszając mnie dalej ani też prosząc siadać, rzekła krótko:

— To to pan jesteś ów nauczyciel, który się podejmuje uczyć dzieci we własnem mieszkaniu początkowej kwalifikacyi? Służąca powiedziała mi: pan Trzepalski.

— Tak jest, szanowna pani dobrodziejko — odrzekłem, przybierając w obec tak pięknej i młodej kobietki, najwdzięczniejszą na jaką mnie tylko stać było, minę. Sulpicyusz Anatazy Tyberyusz Trzepalski, nauczyciel prywatny obecnie, a przedtem rządowy we wsi Duża Ruda pod Opolem.

— To pan musi już posiadać dużą *kwalifikacyę* w swojej *branży* — rzekła teraz właścicielka magazynu strojów. przypatrując mi się z pewnym wesolutkim i trochę ironicznym uśmieszkiem, którego przyczyny nie mogłem się wcale domyślić.

— Pani dobrodziejka, pyta mnie zapewne czy posiadam wprawę i doświadczenie w swoim zawodzie?— wtrąciłem.

— No tak, właśnie — odrzekła; mówię, że pan pracując tak długo w swojej *dykesteryi*, musiałeś się już znakomicie w niej *wyspefikować*. Widzi pan mam ja malca u siebie sześcioletniego chłopczynę, sierotę, wziętego z litości na wychowanie... Jest to dziecko pewnej bogatej nawet pani, która... rozumie pan... nie wiedząc co z nim zrobić, dała mi go pod opiekę. Bo to ja byłam nawet w jej dworze przedtem... Zarządzającą byłam naturalnie... nie żadną pokojówką...

— No juści... juści... gdzieżby! rozumiem panią dobrodziejkę — przerwałem. Pani mówiła dalej...

— Więc, widzi pan — gdyby ta pani nie umarła... no to i jabym może bardzo dobrze się miała od niej za wychowywanie tego dziecka, ale niestety! proszę pana—umarła! umarła kobiecina—i dziecko teraz... cóż z niem zrobić? Trzymam też tego malca dalej u siebie. Zawszeć to już choćby z dzieckiem, to kobieta nie sama. A wszyscy mają mnie nawet za wdowę, i myślą, że to jest mój synek. Niech tam sobie i za wdowę mnie mają, niech myślą, że to moje dziecko; a ja przecie nie mogę go rzucić, I zresztą wychodząc na ulicę mam przecież kogoś przy sobie. Toć jakoś, rozumie pan, przyzwoiciej... tem bardziej przy mojej *kondycyi*.

Słowa pani Modnickiej przerwało w tej chwili wejście bladego, bardzo mizernego i ubranego nieczysto malca, który z trwogą jakąś zatrzymawszy się nagle podczas biegu w drzwiach od salonu i patrząc po właścicielce magazynu, zdawał się jakby obawiać kary od niej za szmer, który sprawił.

— Otóż to on właśnie, ten chłopczyk, proszę pana — rzekła młoda pani zwracając się do dziecka ze znaczącem brwi jakiemś zmarszczeniem, z którego powziąłem wniosek, że pani pomimo pięknej swojej twarzy umie się czasem i dobrze gniewać gdy potrzeba. Podeszła do progu sali i szarpnąwszy trochę za żywo malca za rękę, wystawiła go jakby na pokaz w pośrodku salonu, jako że tam było jaśniej daleko niźli w przedpokoju, gdzieśmy dotąd stali.

Ośmieliłem się też dopiero podsunąć dalej trochę w głąb mieszkania i wszedłem nawet półkroczkiem po za próg bawialnego pokoju, aby się lepiej przyjrzeć malcowi.

— To to jest, proszę pana — rzekła znów teraz pani Modnicka. Mizerne to, jak pan widzi i zbiedzone. Nie wiem nawet od czego, bo pożywienie mu daję dobre. No i pilnuję... *Kompleksya* widać już taka. To ten pan, co, jeżeli Stasio ładnie poprosi, będzie może uczył Stasia, — zwróciła się tu do malca i szarpnąwszy go znowu dość mocno za rękę, dodała półszeptem: ,,no, czemu się tak krzywisz?" A potem znowu łagodnie: ,,Widzisz, mój kochany— to twój dobroczyńca. Mama wiesz za ciebie płacić nie może — a przecie trzeba, żebyś był edukowany choć trocha. Nie można tak ciągle zbijać bąków i latać po podwórzu z dziećmi stróża. Trzeba się uczyć, uczyć mój ty gagatku. No, idź już sobie.

Chłopczyk odszedł cicho i z pochyloną główką do pokoju sąsiedniego, rzucając na mnie dziwne jakieś i nie wiem dla czego, wzruszające mnie mocno spojrzenie, a pani Modnicka kontynuowała dalej: Tak jest, proszę pana — jabym to chciała, żeby malec się troszkę okrzesał. Zawszeć wiedzą ludzie, że jest u mnie — chodzi zresztą ze mną wszędzie — no to i niemiło prowadzić takiego dzieciaka przy sobie. Zawszeć przy drugich dzieciach to i on nabierze poloru, a choćby, że czytać się nauczy — to i to dobrze. Cóż ja mogę proszę pana? Łożyć na niego nie mogę. Wyrzucić go od siebie, (choć przyznam się, że mnie... niby dla mnie... to on i nie jest tak znów potrzebny), też nie mogę — a dziecko się mizeruje. Ucieszyłam się też bardzo przeczytawszy pańskie ogłoszenie, w którem pan pisze, że są często rodzice, którzy bardzo mało za dzieci swoje płacić mogą i że pan takim rodzicom chce przyjść w pomoc. *Bardzo mało*, pan pisze — wprawdzie ja i tego *bardzo mało*, bo nic za chłopca płacić nie mogę... kosztuje mnie i tak już utrzymanie jego proszę pana!... ale, — pomyślałam sobie — taki człowiek, to już przy innych dzieciach, które uczy, chętnie może darmo przyjąć, podobną sierotkę. Przecie więcej tam czy mniej jedno dziecko — to cóż znaczy? A kiedy ja mogę robić mu przecie to wsparcie, żywić go, odziewać i t. d. z litości tylko nic więcej — to i czemuż ktoś drugi uczyćby go darmo nie chciał. Nie mam — nie mam nic, mój drogi panie, dla tego malca już więcej, nad to co robię i jeżeli by pan nie chciał zaopiekować się nim we względzie edukacyi, to trudno; niech tam się już z nim dzieje Boża wola.

Milczałem ciągle i drogi czytelnik łatwo się domyśli, jakie te wszystkie słowa pani Modnickiej robiły na mnie wrażenie.

— Bo to pan może myśli — proszę pana — zaczęła znowu interlokutorka moja — że wielkie mam dochody ze swojej branży. Gdzie tam! proszę pana. Dziś nie to już całkiem, co było dawniej. Łapserdaki same żyją z przeproszeniem. Albo to się paniom naszym, myśli pan, chce wydać dziś na dobrą jakąś i uszytą w magazynie suknię? Same szyją na maszynach drogi panie — jak proste szwaczki — szyją sobie same. To to tylko na oko zdaje się szykowne i jakie takie; ale naprawdę... naprawdę proszę pana— to... uff! Boże zmiłuj się... kamlociki, perkaliki i wszystko. Wszyscy się oszczędzają drogi panie!— żyją jak, z przeproszeniem, hetki żydowskie. Gdzie tam dochody! jakie tam dochody od pań dzisiejszych!

No jakże mój panie? — zagabnęła mnie po pewnym przestanku.

Czytelnik zapewne domyśli się tym razem już sam mojej odpowiedzi, nie mam mu przeto potrzeby nic dalej opisywać.

Wskazałem znów pani Modnickiej, gdzie i w jakich godzinach wychowanek jej ma uczęszczać do mnie na lekcye, i... i pożegnawszy ją, jako należało tak dostojną i w tak pysznych pokojach mieszkającą osobę. udałem się na ulicę, wskazaną mi przez adres piąty, który wyjąłem z kieszeni.

(d. c. n.)

ORZEŁ I GOŁĄBKA

POWIEŚĆ

PRZEZ

Panią Zeneidę Fleuriot.

DZIEŁO UWIEŃCZONE PRZEZ AKADEMIĘ FRANCUZKĄ

przekład **H. K.**

(Dalszy ciąg).

— Czy pani widziała ostatnie nasze modele?—zapytał uprzejmie, zbliżając się z nadskakiwaniem jakiś gruby, grzeczny jegomość, którego było obowiązkiem rozbudzać w duszach klientek ostygającą żądzę posiadania nowości—nadeszły nam dziś rano i pokazujemy je wyborowej naszej klientelli. To okrycie jest prawdziwie zachwycające! modne i dystyngowane; lekkie a zarazem obszerne; jest to utwór jednej z najlepszych naszych artystek. Jeżeliby panie chciały za mną pofatygować się, pokazałbym natychmiast wszystko, co prawdziwie godnem jest widzenia.

— Bezwątpienia, mój panie—odrzekła pani Drassart—po to tylko przyjechałyśmy, abyśmy coś nowego widziały. Czy idziesz Noémi?

— Nie—odpowiedziała Noémi—idź mama, jeżeli cię to bawi, ja tu zaczekam.

— Ależ moja córko...

— Ależ mamo, cała gadanina zaczyna mnie już nudzić. Idź sama zobaczyć co tam jest modnego i dystyngowanego, potem mi to opowiesz. To już twoja rzecz całe życie w modach się kochać, lecz mnie sprzykrzyły się one i bardzo mało już zajmują; teraz lubię zajmować się tylko polityką, może to czyni nas staremi ale nie tak jest głupie przynajmniej.

— Masz jakieś nowe kaprysy—mruknęła pani Drassart—jesteś najśmieszniejszą z córek, ale cóż z tobą robić.

I poszła za jegomością ślicznie uczesanym, pachnącym i wyświeżonym, który wciąż czekał uniżenie nachylony.

Noemi usiadła przy Annie.

— Prawdziwie—odezwała się swym rezolutnym tonem, niezmiernie zaczynają mnie nudzić te przejażdżki po magazynach, które mama lubi nad wszystko i do których nazwyczaiłam się więcej z nałogu jak z upodobania. W tem przynajmniej podobną jestem do pani.

Lekki uśmiech był całą odpowiedzią.

— Czy podoba się Paryż panu Henrykowi?—zapytała nagle Noémi.

— Zdaje mi się, że tak.

— A jednak spostrzegam w nim nieraz bardzo wymowne znaki znudzenia.

— Henryk nie zajął się dotąd tak żywo i nieoddał się dostatecznie trudnym i różnorodnym interesom, których całości zrozumieć jeszcze nie może.

Noemi śmiać się poczęła.

— Czy je zrozumie?—odpowiedziała.— Interesa mego ojca i mego wuja Mefisto, to jak butelka atramentu, nikt się w niej nie rozpoznał nigdy. Świetne są one lecz nikt nie widział nigdy podobnej gmatwaniny najróżnorodniejszych przemysłów. Zeszłego roku chciałam rzucić okiem w ten chaos i zbadać go cokolwiek, lecz prędko się od tego odstrychnęłam.

Mój wuj szczególnie piramidalny jest w swych interesach. Buduje, wywraca, urządza, niszczy, wznawia, ma niezwykły talent zagmatwania wszelkich kwestyj i dziwną zręczność obchodzenia wszelkich trudności. Może to i zabawne, ale nie zawsze.

— Bo nic zawsze bawić nie może — wtrąciła Anna.

— Tak mówią i sama się o tem przekonywam. To tylko pewna, że umyłam ręce od wszelkich przemysłowych interesów. Teraz lubię politykę. W tem przynajmniej idzie się prosto do celu i widzi się jasno przed sobą.

— Obecnie, zdaje mi się, że w polityce wielki zamęt panuje.

— Bynajmniéj, w gruncie rzeczy nic jaśniejszego i prostszego być nie może. Na prawdę u nas są tylko dwa stronnictwa: rząd uznany i opozycya prowadząca z nim wojnę nieustanną. Bretońska krew pani zawrze z oburzenia, gdy jej powiem, że należę do opozycyi rewolucyjnéj, demokratycznéj, wściekłéj a jedynie dobréj. Moim bohaterem jest redaktor *Latarni*. Ciągle się o to z panem Henrykiem spieramy. Czy mówił pani o tém?

— Tak rzadko widuję Henryka, że nie mamy czasu mówić o rzeczach obojętnych.

— Więc ja i moi bohaterowie jesteśmy zaliczeni do rzędu obojętnych?

— Zbyt łaskawe wyrażenie dla tych ostatnich—odpowiedziała poważnie Anna—nigdy nie mogłam zrozumieć zachwytu jaki wzbudzają.

— Czy to być może! zawołała Noémi z zapałem, ten szlachcic, który staje się ludem, ten pisarz zamieniający się w pamflecistę, ten zuchwalec śmiało zapalający swą *Latarnię* pod oczyma samejże władzy, powinien być dziwnie sympatycznym dla wszystkich istot szlachetnych!

— Nigdy nie podziwiałam ani śmiałości, ani podłości spowodowanych chęcią wyniesienia się, łagodnie odrzekła Anna.— W moich oczach aktor pozostanie zawsze aktorem, chociażby najrozmaitsze, najszczytniejsze przedstawiał role, układem i potrzebą sztuki wymagane. Przedewszystkiem poważam charakter.

— Zdaje mi się, że go nie zbywa moim bohaterom. Czytałaś pani nasze broszury? Czytujeszże gazety nasze?

— Nie—zimno odpowiedziała Anna—fałsz mnie zasmuca. Jakaż istota myśląca może uwierzyć w miłość niektórych ludzi dla ludu, któremu podchlebiają tylko? Czuję się upokorzoną na myśl, że w obecnych czasach tyle politycznego znaczenia nadają tak lekkomyślnie tym osobistościom, i boję się, aby nowy jaki przewrot nie wywołał ich na widownię i nie zmusił nas patrzeć na ich czyny.

— Nie będziesz pani obawiała się zbyt długo, gdyż ze wszech stron przepowiadają nam rewolucyę, a Henryk Rochfort będzie niechybnie jednym z naszych bohaterów, jednym z mistrzów naszych.

Biała twarzyczka Anny przybrała wyraz dziwnie energiczny.

— Tylko chyba pani! moim zaś nigdy! — zawołała.

— Być może. Niech tylko okoliczności staną na jego wyżynie, a zobaczymy jak świetna będzie jego rola.

— Zobaczymy, a raczej, obyśmy nigdy tego nie widzieli!

— O tchórzliwa istoto! Jak-to czuć, że pochodzisz z tej zakapturzonej Bretanii.

— Zakapturzonej, a odważnej.

— Bretończycy uchodzą za bardzo odważnych, wiem o tem; lecz brzydzę się ich wyobrażeniami zacofanemi, ich zaskorupiałą wiernością i upodobaniem w katechizmie. Lecz otóż i moja matka, biegnę do niej. Żegnam cię panno Anno, starajże się być choć trochę rewolucjonistką. We Francyi, teraz, nad rewolucyą nic modniejszego nie ma!

Będąc rewolucionistą, człowiek odrazu staje się wielkim.

Po tych słowach panna Noémi wstała, protekcyonalnie Annie się skłoniła i podbiegła do matki, która niedbale się włokła przed wystrojonym jegomością.

— Co ci jest? — zapytała — taką masz minę wymuszoną.

— Spotkałam w pracowni marszałkowę i witałyśmy się — odrzekła wachlując się pani Drassart.

— Ach! i to cię tak wzruszyło?—szyderczo powiedziała Noémi—jakaż ty naiwna! Wszak-to wszystko starzyzna, pleśń tylko. Mefisto codzień ci to powtarza.

— A tymczasem Noémi, jest-to zawsze świat wielki.

— Tak niby, a jednak runie on, jak i przeszły. Co do mnie, nie chcę już mieć do czynienia z temi ludźmi, już im czerwoni po piętach depczą i nim rok upłynie, zobaczysz, jakie to będą zmiany.

— Myślisz Noémi?

— Jestem pewną; gdybyś była czytała gazetę dzisiejszą, to tak jakby podpalono Paryż na wszystkich czterech rogach. Chcąc, czy niechcąc, będziemy mieli socyalną.

— Myślisz Noemi?

— Mówię ci, że jestem pewną.

— A więc! odwiedźmy coprędzej panią Ludwikę Pauquet. Jak tylko będzie rewolucya a uda się, mąż jej z pewnością zostanie ministrem.

— Pogardzam temi wszystkiemi ludźmi—odrzekła Noémi dumnie poruszając swym ognistym pioropuszem — żądza wywyższenia się, to całe ich przekonanie.

— Zapewne... pomyśl, jednak,... minister!

— Rzeczywiście, byłoby to przyjemnem. A więc dobrze, jedźmy do pani Ludwiki Pauquet. Mój Boże! mamo, jak ty się nizko kłaniasz! Aleź-to już wyszło z mody, to nie jest wcale demokratycznem.

— Zważ jednak, wszak to marszałkowa, Noémi, nie poznałaśże marszałkowej?

— Tem bardziej nie potrzebne te nizkie ukłony— zawołała ekscentryczna dziewczyna, nadając wysmukłej swej figurce sztywną i wyzywającą postawę—nienawidzę tych wszystkich komedii, które o milę czuć pochlebstwem i dworszczyzną. Kiedyż we Francyi prawdziwymi demokratami zostaniemy.

— Ciszej Noémi! zwrócisz na siebie uwagę jakiego policyjnego agenta — powiedziała przestraszona pani Drassart, już na chodniku rękawiczki swe zapinając.

— Co mi tam!. Czyż nie jesteśmy w kraju wolnym?

Czyż nie jestem niezależną i wolną od wszelkiej służebności?

— Doprawdy Noémi, że nadto już pozwalasz sobie,—mówiła pani Drassart, gwałtem prawie ciągnąc córkę do powozu, który oczekiwał na nie—nie zapominaj, że twój ojciec jest urzędnikiem.

— Urzędnikiem, lecz także niezależnym — odpowiedziała Noémi — gdyż nie wiem, czy choć godzinę czasu poświęca tym głupim zajęciom.

— Ma zajęcia inne.

— Bez-wątpienia,—nie licząc zajęć rewolucyjnych. do których także ręki przykłada.

— Twój ojciec mało się miesza w politykę — kończyła pani Drassart siadając do powozu.

— Dostatecznie, aby zapewnić sobie dobre stanowisko w przyszłem stronnictwie, gdy ono zwycięży,— odpowiedziała Noémi.—O! papa i Mefisto sprytni są, i kiedy się do wyobrażeń moich nakłaniają, to widać że zgadli, zkąd wiatr powieje.

— Gdzie jedziemy mamo?

— Wiesz dobrze, do pani Ludwiki Pauquet.

— Ach tak! do przyszłej ministrowej —smiejąc się zawołała Noémi, a wychylając się przez okno wydała rozkaz stangretowi:

— Ulica Lafitte Nr. 42.

XII.

SCHWYTANA W SIDŁA.

Biuro pana Marcellego Drassart, agenta różnych interesów, kupca patentowanego i wynalazcy rozgłośnych przedmiotów perfumeryi, zaszczyconego orderem legii honorowej i innych cudzoziemskich znaków orderowych, położone były przy ulicy Rivoli w jednym z tych domów, mogących uchodzić za pałace przynajmniej na zewnątrz, przez bogactwo i gust ornamentacyi.

We własnym gabinecie zręcznego agenta, przez synowicę Mefistofelem przezwanego, znajdujemy teraz brata jego, pana Inspektora, którego czynność główna polega na inspekcyi obrotów odbywających się w tym bogatym domu.

Godzina południowa; inspektor i Mefisto na wpół leżąc w wygodnych fotelach, oddani poufnej rozmowie, przypatrują się jednocześnie, jak ich hawańskie cygara w popiół się zmieniają. Zdala od widzów obaj bracia wracają do swego prawdziwego stosunku: młodszy staje się panem, starszy słucha, młodszy tworzy, wynajduje, rozkazuje, wypytuje, starszy słucha, pojmuje i wykonywa; jeden, to intelligencya; drugi, czynność; i te dwie siły złączone wytworzyły związek pewną potęgą będący.

— A teraz przejdźmy do Bretończyka — odezwał się Mefisto strzepując popiół z cygara—jestem tylko na wpoł z niego zadowolniony, a ty?

— To dzielny pracownik, Marcelli:

— I intelligentny, lecz na nieszczęście za nadto giętki.

— W niczem nigdy się nie oparł, niczego nie odmówił.

— Zapewne, lecz pomimo tego zachowuje on niezależność i swoje przekonania. Czy odebrałeś od niego wszystkie papiery, tyczące się sprawy Marbriex?

— Wszystkie.

— I nic nie powiedział?

— Zdawał się być zdziwiony, lecz prędko dałem mu zajęcie w innem biurze.

— Bardzo dobrze. Co za cenny byłby nabytek z tego człowieka, gdyby był mniej bystrym, lub mniej!... Mefisto zdmuchnął popiół z cygara i dodał pogardliwie.

— Albo przynajmnej głupim.

— Cóż chcesz, lubuje się w swych powijakach i nic go z nich wyciągnąć nie może.

Mefistofeles kręcił w palcach swą rudę brodę z rodzajem niecierpliwości.

— Nie będziemy mogli go opanować dopóki żyć będzie w tem kółku rodzinnem, w tem otoczeniu bretońskiem, w tym światku zakapturzonym! Wszystko co czynimy zneutralizowanem jest przez siostrę; ona-to jest przyczyną jego oporu. Nie, nigdy Henryk do nas należyć nie będzie, nigdy nie dowiemy się, do jakiego stopnia życie paryzkie może na niego podziałać, dopóki siostra jego tu się znajdować będzie.

Umilkł przez chwilę, i tak ciągnął dalej:

— Nie dałżeś mu do zrozumienia, że się śmiesznością okrywa, mieszkając w Paryżu z temi dwoma prowincyonalnemi prostaczkami?

— Już od trzech tygodni pod róźnemi postaciami, codzień mu prawie to mówię, usiłując pod śmiesznością zabić w umyśle jego siostrę Annę.

— I cóż?

— Śmiał się z początku, potem się rozgniewał, a za trzecim razem poddał się niby.

— Jakże to?

— Wymógłszy na siostrze niektóre zmiany w jej tualecie, co musiało bardzo się jej niepodobać i namówiwszy ją do przyjęcia zaprosin na dzisiejszą zabawę.

— Zawsze to już coś, chociaż ostateczny wynik pozostaje jeszcze ten sam: orzeł i gołąbka na jednem drzewie przesiadują.

— Nie widzę nadal sposobu przeszkodzić temu.

— Pozostaje nam wprost na nią działać —szepnął Mefistofeles, w spojrzeniu którego igrał jakiś niedobry płomyk.

— Jakim sposobem?

— Mamy ich wiele do wyboru, ta kobieta jest z rodzaju czułków, dotknąć ją tylko, a natychmiast listki swe zwinie; czyli mówiąc po prostu, zabierze swe manatki i co prędzej się wyniesie.

— Nie rozumiem dobrze twej myśli — rzekł pan Eugenjusz, który nie miał dość bystrości, aby odrazu pojąć całą głębokość pomysłów swego brata.

— A jednak rzecz bardzo prosta i łatwa do wykonania. Dzień dzisiejszy będzie pierwszym dniem attaku. Jeżeli opuszczając nas dziś wieczorem, siostra Henryka nie będzie na wpół już zdecydowana opuścić Babilon, tom się omylił w rachubach moich. Odźwierna domu, w którym mieszkają, ma zdaje mi się jakieś stosunki z panną służącą Noémi?

— To jej krewna, i przez nią dowiedziałem się, że ta kobieta nie cierpi panny Anny i jej wiejskiej służącej.

— Oczywiście, a ponieważ nigdy małemi środkami gardzić nie trzeba, więc i z tej strony może da się co zrobić. Aby pozyskać sobie tak pożytecznego agenta jakim Henryk być może, nie cofnę się przed niczem. Wystudjowałem go dobrze i znam teraz jego słabe strony; raz upojony powodzeniem, porwany wirem prawdziwego paryzkiego życia, będzie niepowstrzymany, i jak wszyscy ludzie gwałtowni i namiętni, na ślepo się rzuci, choćby później zastrzelić się miał z rozpaczy, gdy namiętność przygaśnie, lecz to mnie już nie obchodzi wcale.

Gdy zimne usta Mefistofela obojętnie wymawiały te cyniczne słowa, małe drzwi w rogu pokoju uchyliły się przed panną Noémi wchodzącą w najekscentryczniejszem stroju.

— Czekają na was,— powiedziała zwykłym sobie lekkim tonem, cóż tu robicie?

Obaj panowie odrzucili cygara, jednocześnie spojrzeli na zegarki i z miejsc swych powstali.

— Kto przyszedł?—zapytał pan Drassart.

— Wszyscy.

— Licząc w to orła i gołąbkę? — zapytał Mefistofel, otwierając delikatnie mały z kości słoniowej grzebyczek.

— Tak wuju, licząc orła i gołąbkę.

— Czy nie mógłabyś namówić tej gołąbki, Noémi, aby odleciała w lasy Carnoet,— ciągnął Mefisto gładząc swą rudą brodę.

— Ta gołąbka jest ze mną na stopie wojennej, mój ty piękny wujaszku, — odpowiedziała śmiejąc się Noémi.—Ktoby oswoił tę dziką ptaszynę, byłby bardzo zręczny.

— Oswoić, — nie mówię, ale przestraszyć.

— Toby już łatwiej było. Ta mała! święta Anna! wśród nas, czyni wrażenie anioła pomiędzy szatanami. A jednakże poświęciła coś dla mody, aby przyjść na naszą zabawę, zawsze wygląda trochę jak zakonnica, lecz jest już postęp, a szczególnie zmiana.

— Ach! — zawołał uradowany Mefisto, składając swój grzebyczek, czyżby i ona uległa zarazie?

Noémi wstrząsnęła głową we wstążki strojną.

— Nie!—powiedziała śmiejąc się—napróżno stara się ukryć swoje uczucia, ona ze wstrętem patrzy na nas.

Obaj panowie się uśmiechnęli.

— To też dla tego należy uwieńczyć naszą niecnotę, ukazując się jej dzisiaj takiemi, jakiemi na prawdę jesteśmy—powiedział Mefisto.—W dniu, w którym Paryż jej obrzydnie, porzuci go, wyjedzie, a Henryk naszym zostanie. A więc maski w kąt i wesoło dzionek przepędźmy, po śniadaniu spacer w Bulońskim lasku, po spacerze obiad u Planeau, a po obiedzie do Teatru na Piękną Helenę. Rozumiesz Noémi? Trzeba ją wszędzie oprowadzić tę gołąbkę, wszędzie!

— Za cóż tak się uwziąłeś na tę biedną Annę, mój wuju?

— To już tajemnica moja.

d. c. n.

LIST DRUGI Z CHICAGO

w Ameryce północnej.

Z LIVERPOLU DO NOWEGO YORKU.

przez

SYGURDA WIŚNIOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

— Chłopcy,—rzecze kapitan do majtków—możecie teraz pójść na trzy dni do domu, gdyż naprawa maszyny zajmie wiele czasu i majtków nie potrzebuje.

Jack, nasz bohater, nie czekał aż statek do doków dotrze, lecz skinął na pierwsze czółno snujące się po rzece i dobiwszy targu z wioślarzem, kazał się zawieść do swego pomieszkania.

Wchodzi do domu. Zamiast żony, zastaje jakiegoś jegomościa rozwalającego się na kanapie. Zdziwiony pyta, gdzie Fanny, nie powiadając że to jego żona.

Jegomość obcy zmarszczył brwi i dość ostrym tonem skarcił go, iż śmie panią domu nazywać wprost Fanny.

— Wszak mi wolno własną żonę nazywać po chrzestnem jej imieniu, rzecze Jack.

— Pańską żonę? Wszak Fanny jest moją żoną.

Oczywiście, iż zanim pani domu weszła do izby, już nastąpiło wyjaśnienie, w jaki sposób dwóch posiadała małżonków. W kilka tygodni po zamąż pójściu za naszego Jacka a w dni kilka po jego pierwszem odpłynięciu do Nowego-Yorku, wrócił pierwszy jej mąż z długiej podróży. Pobywszy kilka tygodni w domu przyjął służbę na statku parowym również krążącym między Anglią i Ameryką. Parowiec ten zwykle opuszczał Liverpool zanim Minesota wróciła, a wracał na Wschód gdy ta ostatnia odchodziła na Zachód. Oba szczęśliwi małżonkowie tej pani mijali się więc na morzu, obadwa zostawiali jej pół żołdu podczas niebytności i obsypywali podarunkami za powrotem.

Wypadek z maszyną Minesoty zepsuł domowe szczęście podwójnego małżeństwa.

— Cóżeście zrobili, — zapytałem Jana, gdy ta bezwstydna kobieta weszła do izby?

— Cóż miałem robić?—odrzekł.—Wyrzekłem się wszelkich praw do niej na korzyść pierwszego męża.

— Czemuż nie zawezwałeś ją przed sąd za wielożeństwo? Zbrodnia-to ciężka i srogo karana.

Jan zastanowił się na chwilę, a wreszcie rumieniąc się odrzekł:

— Czy pan kiedy byłeś bardzo zakochany?

— Byłem, — odrzekłem bez wachania, chcąc się dowiedzieć dla czego zadał tak dziwne pytanie.

— Jakżeż więc możesz żądać, bym stawał jako oskarżyciel kobiety, którą kochałem i kocham, pomimo, iż wiem że jest potworem?

Milczeliśmy oba, przez chwilę. Na jego licu malowało się głębokie i rzeczywiste wzruszenie, ja dumałem nad potęgą uczucia, które przezwyciężyło w tym prostaku nawet chęci zemsty za najcięższą krzywdę, jaką może kobieta wyrządzić mężczyznie.

— Jack! odezwał się głos na rafie okrętu.

— Kapitan mnie woła,—rzekł mój towarzysz.— Muszę odejść na chwilę.

To mówiąc, zdjął z głowy kapelusz, dobył z ust na pół przeżutą, lecz nie dogryzioną prymkę i włożył do kapelusza, i nałożywszy znów na głowę ceratowe jej ubranie, o kresie szerokiej jak deszczochron, pobiegł czemprędzej ku dowódzcy.

Prostak ten miewał czasami nie tylko sentymentalne, lecz i wesołe napady. Wieczorem, gdy kilkunastu podróżnych zebrało się na część pokładu blizkiej komina, gdzie blaszana wieża zasłaniała ich plecy od wiatru, a ciepło z niej wychodzące wcale nie było zbyteczne przy chłodzie jesiennego wieczora, udało się nam nakłonić Jana, by nam *prządł* cokolwiek. Majtkowie nazywają przędzeniem wszelkie długie opowiadania dziwnych przygód, a to z przyczyny, iż opowiadania takie odbywają się na statkach w owych godzinach, gdy dla braku innego zajęcia, załoga zasiądzie do skubania kłaków, niezbędnie potrzebnych do zatykania szczelin pomiędzy ścianami okrętowemi. Palce ich twarde mechanicznie szarpią i maczają smołą i żywicą przędziwo, umysł więc i ucho nie zajęte. Wtedy każą jakiemu staremu sea lawyer (prawnikowi morskiemu czyli gadule), pleść sobie smalone duby o podróżach dalekich, kapitanach i oficerach słynnych w handlowej flocie.

Jan był wcale niezłą prządką, zwłaszcza po uczęstowaniu go gorzałką. Opowiadał obszernie o statkach, na których służył, jak mu na nich było wygodnie, co do jadła i lekkiej pracy. Wszystkie okręta chwalił, oprócz Minesoty, gdyż majtek systematycznie gani okręt, na którym służy, i narzeka zawsze na ustawy pod któremi żyje. W tym względzie trzyma się angielskiego przysłowia, iż najdroższem skarbem anglika jest prawo narzekania i że wolność Anglii stoi li na przywileju utyskiwania (right to grumble). Skoro jednak opuści statek i na innym służbę przyjmie, wnet chwali opuszczony, a gani nowe swe domostwo.

Ze statków i podróży przechodził do portów i opisywał zwyczaje ich mieszkańców. Uwagi człowieka patrzącego na wszystko ze stanowiska morskiego, nie raz nader zabawne. Najlepszym krajem dla niego jest ów, gdzie arak najtańszy, ztąd Zachodnie Indye i morze Śródziemne z wielkim wspomina uszanowaniem. Niemniej czule mówi o Hiszpanii lub Sycylii, bo dzieweczki tam mile strzelają okiem do marynarza. Ameryki południowej nienawidzi, gdyż w skutek lenistwa, kapitanowie nie mogą tam otrzymać ludzi do wyładowania magazynn i majtkowie muszą spełniać tę ciężką i nie leżącą w ich zawodzie pracę.

Nieraz starałem się wybadać Jana, ażali nie uderzyły go jakie miejscowe zbiory, czy też nie studyował zwyczajów lądowców. Gdzie tam! on wciąż prawi o dobroci porteru i mieszkańców względem siebie, o dobrych trunkach i jak za tanie pieniądze mógł się wyjeździć na koniu lub ośle, gdyż jak wszyscy majtkowie lubił przegalopować się po lądzie. Oczywiście, iż i miłostki jego wychodziły na jaw, ale najczęściej tylko nieszczęśliwie się kochał, a w końcu padł ofiarą przebiegłości kobiecej, gdy się kazał *splice* (związać). Na określenie małżeństwa nigdy innego wyrazu nie używał jak *to splice*, określając stosunek małżenski

porównaniem z dwoma sztucznie związanemi powrozami.

Z czasem znudzeni powieściami, zawezwawszy go dla odmiany, by zaśpiewał piosnkę. Anglicy w ogólności a majtkowie w szczególności należą do ludzi kochających muzykę szalenie, ale nie mających ni ucha ni zdolności do niej. Jak ja, który po kilku latach uczenia się na fortepianie, nie nauczyłem się wygrać gammy C dur i dziś ledwie ton fałszywy wyróżnię, tak cały ten naród zupełnie pozbawiony talentu muzycznego. A przecież wątpię, czy istnieje drugi, bardziej zapalony do słuchania muzyk i śpiewów i hojniejszy w wynagradzaniu często lichych grajków. Gdzie spotkasz anglików, wszędzie śpiewają fałszywie, słowa zaś piosnki główną zdają im się być zaletą i byleby ją zrozumieli wybaczą śpiewakowi wszelkie kaleczenie tonów.

Ztąd też gdy usłyszę majtków śpiewających, uciekam zwykle z pomiędzy nich i dopiero gdy dwieście stóp od nich mnie oddziela, poczynam słuchać. Szum wiatru i szelest żagli mieszają się z aryą, fałszywe więc tony wówczas nie rażą, a melodya unosząca się po nad wodami, posiada urok zupełnie obcy dla lądowca. Czasami syk pary, tentent maszyny i trzaskanie iskier sypiących się z komina i latających na ciemnem tle nieba niby gwiazdki czerwone, zgłuszą część piosnki, ale gdy ucichy się, znów doleci słuchu jakaś zwrotka powabna.

Jan śpiewał lepiej i więcej umiał piosenek, niż towarzysze jego. Większość piosenek tych była treści komicznej, lub nakształt melodramatu, w którym mieszają śpiew i deklamacyą. Pan Jan przybierał przy nich już to rolę Irlandczyka opiewającego, tragiczno-komiczne przygody w Nowym świecie rymem i prozą, już to londyńskiego policyanta umizgającego się do kucharek mieszkających przy ulicy powierzonej jego pieczy, już to kopacza złota wracającego z Australii i jak chłop arystokrata, nie wiedzącego jak dużo kruszczu zawieszać naokoło siebie i jak hojnie nim szafować, by się popisać świeżo nabytem mieniem.

Razu jednego dał nam jednak pieśń własnej jak mówił kompozycyi. Temat do niej dostarczyła mu znana morska legenda o błędnym holendrze (flying dutchman), nutę skradł, jak wszystkie angielskie nuty ludowe, od Niemców. Była-to nudna melodya, z dodatkami szpecącemi ją jeszcze bardziej. Słowa o ile można okraszone i spolszczone podaję poniżej jako próbkę morskiej ballady.

Zbłąkany Holender.

Czy znasz ów kraj, gdzie w białych mielizn piaskach,
Grzebią dla nas złotego pyłu żniwa?
Gdzie czarny lud ztąd z bracią swą w niesnaskach,
Iż nam na czcze paciorki jeńców zbywa?
Gwineę znasz, zkąd heban, kły słoniowe,
I olej z palm monarchom naszym zwożą?
W paprociach tam igrając lwięta płowe,
W zieleni palm papugi pstre się mnożą.
Człek tam traci cień od żarów południa,
I żółty mór lepianki siół wyludnia.
Barkę gdy od piekielnej ziemi zdąża,
Czy wiesz, co tak głęboko w tonie wciska?
Ach bardziej ją ładunek ciał obciąża,
Jak słoniów kość lub olej, co z drzew tryska.
Bo czarny lud i heban ją ładuje,
Gdz ostrą sztabą wir ciepły pruje.

* * *

Gdzie plama chmur po nad topielą wschodzi,
Tam pewno szczyt niebieskich Alp Jamajki!
Może się tam z gorących prądów rodzi,
Huragan, wróg brzemiennej kupca czajki?
Już chwyta nas!... Nim reje z masztów strąci,
Rabandy zwęź, przykruć zbyt wiotkie sosny,
Spieniony nurt niech olej nasz rozmąci,
Ten wonny dar krainy wiecznej wiosny!
Precz z wodą! precz! Ciśnijcie w toń suchary!
Choć cenny chleb, cenniejszy byt galary,
Wino i chleb znajdziemy znów w przystani...
Wzmaga się wiatr, maszt trzeszczy, barka jęczy:
Murzyni precz! niech giną w wód otchłani,
Wszak heban znów murzynów nam nastręczy!....
Zaświecił grom... ludzkie głowy unoszą,
Spienione fale z dziką rozkoszą.

* * *

I ognia wąż z czarnych obłoków zbieży,
Omija maszt, zawisnął na busoli,
I czarny słup, gdzie sternika skarb leży!
Zmiótł z rafy w wir — już fala z nim swywoli.
Czy psotą tą orkan nasycon nagle?
Ucicha wiatr, pagórki fal się gładzą,
W biały się łuk wydęły nowe żagle,
I kędy biedz, sternicy z szyprem radzą.
Ach czemuż tak pobledli marynarze?
Już magnes im północy nie pokaże!
Rwie Sternik włos! czy heban i pył złoty,
Okupi chleb ciśniony w gorzkie męty?
Czyż nam odwilży gardła w dniach spiekoty,
Ten nędzny skarb?... Niech ginie wódz przeklęty.
Napój i chleb on kazał ciskać w tonie,
Krew znajdziem w jego nieludzkiem łonie.

* * *

Lekko dmie wiatr, wesoło barka płynie,
A nawa jej w pył złoty, w heban hojna,
Lecz nigdy już do portu nie zawinie,
Po sądny dzień ta barka niespokojna,
Żeglarz nieraz gdy z Indyi portów wraca,
Napotka ją w upiorów białych pieczy,
Gdy gromów blask pomosty jej otacza,
Na rafie, tam niebiosom tłum złorzeczy,
Gdzie Kuby brzeg? kościotrup z kosza pyta,
Prośbą o chleb dowódzcy czaszka wita,
Na wzniosły burt szkielety beczki toczą,
Ciskając w męt napoje i chleb boży,
I czarny lud z wygiętej sztaby tłoczą,
I w wodzów pierś wbijają ostrza noży.
Strwożony widz Holendrów poznał mary,
I znakiem krzyża odpędza czary.

Słuchając tej nieco zbyt długiej morskiej ballady, wróciłem pamięcią do owych czasów, gdy po tychże wodach po których dziś wolni choć ubodzy wyrobnicy Europy płyną ku nowej ojczyznie, wieziono do Ameryki ładugi nędznych murzynów, by ich zaprzęgać do pracy. Kto wie, ile razy powtórzyła się na szerokiem morzu scena opisana w balladzie, gdy huragan kołatał przeładowanym statkiem. Pamięć takich scen przechowały legendy majtków, poczucie sprawiedliwości wrodzone w piersi ludzkiej, kazało im wyroić sobie widmo Holendra, błądzącego na wieki po oceanie, za to, iż wolał wrzucić biednych murzynów, jak ulżyć brzemię okrętu stratą hebanu i złota.

(d. n.)

KRÓTKIE WIADOMOŚCI
Z DZIEDZINY NAUK PRZYRODZONYCH
POSTĘPU ICH I ZASTOSOWANIA.

I.

Ważniejsze zastosowania Elektryczności prądującéj.

(Dalszy ciąg.)

Telegrafia elektryczna.

Myśl zastosowania elektryczności do korrespondencyi telegraficznej, to jest do natychmiastowego przesyłania z jednego miejsca w drugie znaków lub liter, zrodziła się w głowach fizyków, skoro tylko poznali fenomena elektryczne, a zwłaszcza własność jej przebiegania przestrzeni z szybkością oznaczyć się nie dającą. Już po roku 1750, to jest po znakomitych pracach Grey'a, Dufay'a, Musschenbroek'a, Lemonnièr'a i Franklin'a, myśl zastosowania do telegrafii ważnej i tajemniczej siły elektryczności, prędko się zrodziła.

W jednej szkockiej gazecie z owego czasu, *Scot's Magazine*, znajduje się list, jedną tylko literą podpisany, zawierający opis telegrafu elektrycznego, pomyślanego wcale dobrze. List ten pisany w roku 1753; autor jego pozostał nieznany, a pomysł, jakkolwiek dobry, uwagi na siebie nie zwrócił.

Inaczej się stało z przyrządem wymyślonym przez pewnego uczonego Genewczyka, nazwiskiem Ludwik Lesage. W 1760, Lesage, wówczas profesor matematyki w Genewie, powziął myśl telegrafu elektrycznego i własnemi rękoma go wykonał w 1774 roku. Przyrząd ten składał się z dwudziestu czterech drutów metalowych od siebie oddzielonych i obwiniętych powłoką nie przepuszczającą elektryczności. Każdy drut dochodził do metalowego słupka, na którym zawieszona była kulka z bzowej rdzeni, na jedwabnej nitce. Gdy na pierwszej stacyi dotykano się jednego z tych drutów laską laku przez tarcie naelektryzowaną, kulka bzowa na drugiej stacyi natychmiast zostawała od niego odepchniętą, i ruch ten oznaczał jedną z liter alfabetu.

Myśl użycia elektryczności do przesyłania znaków telegraficznych, przedstawiła się prawie jednocześnie w Niemczech, Hiszpanii i Francyi, wielu uczonym, którzy usiłowali wymyślić odpowiednie przyrządy. Lhomond we Francyi, Battancourt w Hiszpanii, Reiser w Niemczech, doktor Salva w Madrycie, między 1787 a 1796 rokiem, myśl tę mniej więcej szczęśliwie zastosowywali.

Lecz wszystkie ich przyrządy, działające za pomocą machin elektrycznych z taflą szklanną, były niczem więcej, jak tylko ciekawościami gabinetowemi, do prawdziwej korrespondencyi telegraficznej służyć nie mogącemi. Elektryczność albowiem przez tarcie wywoływana, li tylko na powierzchni ciał przebywa, i usiłuje ciągle opuścić przewodniki swoje z rozmaitych przyczyn, a szczególnie pod wpływem wilgotnego powietrza.

W tymże czasie zajęto się bardzo telegrafią powietrzną przez księdza Chappe wynalezioną, sygnały powietrzne od 1793 roku we Francyi zaprowadzono, i wkrótce po całej Europie ta metoda się rozpowszechniła, a telegrafy elektryczne, a raczej ich próby, poszły w zapomnienie.

Wynalazek stosu Volty, będącego nieustannem źródłem elektryczności prądującej, formą, pod którą elektryczność nie ma dążności do opuszczenia ciał, które ją zawierają, zmieniła zupełnie postać tej sprawy. Od tej bowiem chwili, można już było myśleć na seryo o użyciu elektryczności, jako działacza telegraficznego.

W pierwszych czasach odkrycia stosu Volty, rozkład wody przez prąd elektryczny głównie zwrócił uwagę fizyków. Ten fenomen chemiczny był podstawą pierwszego telegrafu elektrycznego, do którego stos galwaniczny użyty został. W 1811, Soemmering, fizyk z Monachium, dał opis telegrafu na rozkładzie wody opartego, urządzonego w dwudziestu czterech naczyniach przedstawiających litery alfabetu i dziesięciu innych, dla dziesięciu numerów. Lecz ten system przedstawiał w praktyce zbyt wiele komplikacyi. Aby dojść do celu, potrzeba było na miejsce działania chemicznego, wynaleźć prawdziwe działanie mechaniczne.

Aż do roku 1820, nauka nie posiadała żadnego środka wywołania za pomocą elektryczności jakiegobądź działania mechanicznego, któreby do urządzenia dobrego telegrafu służyć mogło. Odkrycie Oersteda środek ten podało.

Mówiliśmy już, że Oersted przekonał się, iż prąd elektryczny obiegając w około igły magnesowej, usuwa ją z jej zwyczajnego kierunku. Jak tylko to odkrycie światu uczonemu wiadomem się stało, natychmiast fizycy myśleli o zastosowaniu go do telegrafów. Ampère dał opis przyrządu telegraficznego opartego na zboczeniach tylu igieł magnesowych, ile jest liter w alfabecie.

Działanie jego było wszakże za słabe, nie wystarczające, nauka podała wkrótce sposób wzmocnienia tego działania. Schweiger okręciwszy raz koło razu

drut ze stosem połączony i odosobniwszy go jedwabną powłoką, przekonał się, że igła magnesowa w środku tych skrętów umieszczona, znacznie więcej zbaczała i to w stosunku ilości skrętów. Schilling i Aleksander natychmiast na tym fakcie oparli swoje systemy telegrafów elektrycznych. Lecz przyrządy ich zbyt wiele miały drutów dla wskazywania każdej litery alfabetu, nie mogły więc funkcyonować z należytą regularnością. Wypadało znowu naukę prosić w pomoc.

Badając doświadczenia Oersteda, Arago uczynił odkrycie, że elektryczność obiegając około sztaby z żelaza miękkiego, to jest bardzo czystego, nadaje tej sztabie własności magnesu. Jeżeli się sztabkę z żelaza miękkiego, mającą kształt podkowy, okręci drutem miedzianym, opatrzonym pokryciem jedwabnem, jako ciała odosobniającego, i dwa końce tego drutu połączy się z biegunami stosu, natychmiast to żelazo staje się magnesem i przyciągnie kawałek żelaza w pewnej odległości będący. Przerywając, to jest przerywając łączność ze stosem, w tej chwili sztaba traci swe własności magnetyczne, wraca do stanu naturalnego, a kawałek żelaza, który była przyciągnęła, odpada. W jednej sekundzie można w ten sposób po razy kilka zamieniać w magnes sztabę żelaza miękkiego i wracać mu własności przyrodzone. Jeśli się użyje stosu złożonego z czterdziestu elementów Bunsena, a sztabę żelaza wygiętą nakształt podkowy, wielokrotnie drutem obwinie, otrzyma się elektro-magnes, czyli magnes sztuczny, mogący utrzymać ciężar 1,300 funtów.

Namagnesowywanie się chwilowe żelaza działaniem prądu elektrycznego, oto jest zasada, na której oparte są wszystkie przyrządy dzisiejszej telegrafii elektrycznej. Objaśnić nam jeszcze należy, jakim sposobem można na tej zasadzie wywołać w danej odległości, działanie mechaniczne.

Mamy naprzykład stos działający w Warszawie. Drut, konduktor tego stosu, przeciąga się przypuśćmy do Krakowa, i tam okręcony jest w około sztabki żelaznej, i znów zwrócony do Warszawy. Prąd elektryczny wychodzący z Warszawy namagnesowuje sztabę żelazną w Krakowie będącą, i jeśli naprzeciw tej sztabki umieszczony będzie krążek żelazny ruchomy, krążek ten zostanie natychmiast przyciągnięty i przylgnie do tego sztucznego i czasowego magnesu. A teraz przerwijmy w Warszawie komunikacyą drutu konduktora ze stosem, sztabka żelazna będąca w Krakowie, natychmiast się odmagnetyzuje, i nie utrzyma już krążka żelaznego, który wraca na dawne swe miejsce, tem łatwiej, że mała sprężynka dopomaga do tego ruchu wstecznego, w tył go pociągając.

Tak więc puszczając i przerywając z kolei prąd elektryczny w Warszawie, wywołuje się w Krakowie ruch tam i na powrót, żelaznego krążka. Ten ruch przez czasowe namagnetyzowanie żelaza spowodowany w jakiejbądź odległości, jest zasadniczym faktem, na którym spoczywa budowa przyrządów telegraficznych.

H. K.

SŁOWKO
O TEGOCZESNÉJ POEZYI WŁOSKIÉJ

PRZEZ

Joannę Belejowską.

I.

Kobiety poetki.

Piętnaście lat mija od chwili, jak, dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, a głównie poparciu francuzkiego oręża, Włochy otrząsły się z trzech wiekowego ucisku, i wolne i zjednoczone zajęły należne sobie stanowisko wśród narodów europejskich. Krew przelana pod Solfer, i Magentą nie była straconą dla sprawy cywilizacyi i ludzkości; wyzwolony pół wysep odrodził się do nowego życia politycznego, pod błogiem tchnieniem wolności ustalił się porządek materyalny, powiększyło się bogactwo publiczne, wsie i miasta zakosztowały nieznanej im dotąd pomyślności i rozwoju, a znakomici inżynierowie dokonali dzieł wielkich, mogących śmiało wytrzymać porównanie z kolosalnemi pracami dawnych Rzymian. Horyzont moralny i intellektualny tak długo zasępiony zaczął się rezjaśniać, instynkta poetyczne od lat wielu uśpione zaczęły budzić się do życia, i zaraz po wojnie włoskiej pojawiło się nagle kilka tomów poezyi, dowodzących, że święta iskra nie zagasła w ojczyznia Danta, Tassa i Ariosta, lecz tlała pod popiołem, że nie brak talentów, którym niedostawało tylko wolności, aby pełnym zajaśnieć blaskiem i nową dorzucić gałązkę do laurowego wieńca poezyi włoskiej.

Jakkolwiek pod względem natchnienia, siły i geniuszu, poeci włoscy niezaprzeczenie pierwsze przed poetkami trzymają miejsce, jednak pozwalamy sobie pominąć to starszeństwo, i krótkie to sprawozdanie o poezyi włoskiej od czasu wyswobodzenia półwyspu, rozpoczniemy od utworów kobiecych.

Liczba kobiet poetek jest dziś we Włoszech tak znaczną, iż niepodobnaby było mówić o wszystkich w tak pobieżnem sprawozdaniu, dla tego wymienimy tylko najznakomitsze.

Zacznijmy od Franczeski Lutti. Urodziła się ona w Tyrolu włoskim, który był także ojczyzną Prati'ego, Gazzoletti'ego i Andrzeja Maffei, pod którego właśnie opieką rozpoczęła swój zawód. Najpierw wydała dwa tomy poezyi, które jednak przeszły niepostrzeżenie, nie znalazłszy w świecie literackim uznania odpowiedniego swej wartości. Nie możemy pominąć ich milczeniem choćby przez wzgląd na znakomity utwór, jakim jest zamieszczona w tomie II-im nowella, złożona z siedmiu pieśni, pod tytułem: *Giovanni.*

Bohaterem tej rozrzewniaiącej, pełnej prostoty nowelli, jest jeden z tych młodych seminarzystów jakich we Włoszech więcej jest dziś, jak gdziekolwiek indziej, którzy upojeni szałem wzburzonych namiętności, zrzucają z pogardą jarzmo dobrowolnie przyjęte, aby następnie zbolali i rozczarowani, kornie pochylić czoło przed prawami, któremi wzgardzili. Poetka z wielką prawdą i siłą opisuje tajemną i bolesną walkę, jaką staczają z sobą przekonania religijne i żądze światowe uniesionego pychą seminarzysty, oraz kolejne przejścia oddzielające upadek od upamiętania, a nadto z niezwykłą znajomością czy przenikliwością maluje wszelkie uczucia serca. Jakkolwiek poemat ten w niczem nie naśladuje, jednak przypomina nadzwyczaj *Jocelyn'a* Lamartine'a a wiersz panny Lutti nie ustępuje wierszom francuzkiego wieszcza.

Oprócz nowelli *Giovanni*, mamy jeszcze w tym zbiorze poemat *Rosa e Stella* i *Maria*, oraz zbiór poezyj lirycznych, z których jednak kilka tylko napiętnowane są wyższym talentem.

Jednym znajświeższych autorów Franczeski Lutti jest piękny poemat *Alberto*, któremu głównie zawdzięcza swą poetycką sławę. Znakomity ten utwór odznacza się w ogóle doskonałością formy, za to pomysłowi moglibyśmy niejakie poczynić zarzuty.

I tak, bohater w którym autorka każe nam dopatrywać się jakiegoś ideału, niekoniecznie takim nam się przedstawia, gdyż jest to charakter słaby i nielogiczny. Mamy widzieć w nim nieomylnego przewodnika i kierownika duchowego, jeden z tych wszechstronnych gieniuszów, dla których nic nie jest niedostępnym, a jakoś w czynie całkiem inaczej nam się przedstawia.

W przeciągu lat kilku, dwa razy kochał się szalenie; gdy go pierwsze zawiodło uczucie, złamał pióro poetyckie mające mu zapewnić nieśmiertelność, i po długiem wahaniu między prawem a medycyną, chwyta za lancet i w nader krótkim przeciągu czasu zostaje najznakomitszym doktorem w całych Włoszech. Pomimo nadzwyczaj rozgałęzionej praktyki umie się tak urządzić, aby znaczną część roku przepędzać na wsi gdyż oczarowywają go znów wdzięki pięknej Malwiny, córki najznakomitszego i najbogatszego w okolicy patrycyusza. Młoda dziewica, żywa i zalotna, pragnie podobać mu się i zachwycić, jednak przez cały ciąg ośmnastu miesięcy, nie wyrzekła ani jednego zobowiązującego lub kompromitującego ją słówka, a biedny zakochany doktór kocha się i szaleje, łudząc się niepodobną prawie do urzeczywistnienia mrzonką i zamiast raz zapytać dziewicy lub jej ojca, pozostaje ciągle w okropnej dla siebie niepewności, aż do chwili gdy piękna Malwina oddaje rękę człowiekowi równemu sobie urodzeniem i stanowiskiem. Daremnie autorka stara się obudzić w czytelnikach oburzenie i zgrozę przeciw pięknej patrycyuszce, i w ostatnich szczególniej rozdziałach dopieka jej najokrutniejszemi docinkami, widziemy w niej dziewczynę miłą, uprzejmą, przezorną, umiejącą w danym razie panować nad sobą i której najuczciwszy człowiek może spokojnie powierzyć swój honor. I jak tu zresztą tak bardzo ubolewać nad zawiedzionym w nadziejach swych Albertem, kiedy on sam tak umie się pocieszać, iż niedługo żeni się z jakąś ubogą dziewczyną, która kocha go szalenie i co więcej bardzo niedługo po ślubie spada na nią jakaś wielka sukcesya.

(d. c. n.)

Przegląd literacki.

Jak uczyć historyi? Wskazówki dla nauczających, przez Ignacego Boczylińskiego. Warszawa nakładem Redakcyi Opiekuna Domowego. 1874 (Wychowanie Domowe, tomik IV str. 47).

Autor tej książeczki słusznie uskarża się na zaniedbanie obecne nauki historyi w ogólności, a szczególnie historyi polskiej. Wychowanie domowe ma ten brak uzupełnić, ale to zadanie niełatwe; brak tu wszystkiego,—i nauczycieli i podręczników i, co najważniejsza,—jasnego poczucia potrzeby ze strony większości rodziców. Mało bowiem kto pomiędzy nimi pojmuje, że wypada czasem uczyć dzieci czegoś więcej jeszcze nad to, co potrzebne jest dla zyskania patentu i ma wrzekomo zapewnić dzieciom karyerę. Czy to nie dosyć, że oddaje się dziecko tu lub owdzie (byleby tylko je przejęto) płaci się za naukę pewną kwotę, kupuje książki i wreszcie raz do roku odwiedza się tego lub owego z uprzykrzoną prośbą o poprawienie stopnia lub bez ogródki o promocyą lub patent?

Słowa nasze tchną może pesymizmem, ale niestety! to wynik doświadczeń rzeczywistości; jaśniejsze wyjątki są wprawdzie, lecz stanowią jeszcze nieznaczną mniejszość. Przy takim stanie rzeczy, domowe nauczanie historyi— tej pięknej nauki, którą starożytni nazywali mistrzynią życia,—jeśli gdzie i istnieje, zostaje w bardzo opłakanem położeniu. Do historyi polskiej jeszcze posiadamy lepsze podręczniki niż do nauki dziejów powszechnych (te ostatnie to tylko spekulacyjne tłomaczenia przestarzałych już dzieł obcych), ale cóż, kiedy wykładem historyi trudnią się najwięcej osoby, dla zarobku ucząće zarówno wszystkiego, bez względu czy znają przedmiot czy nie, osoby, które same albo wcale nie uczyły się tego przedmiotu albo uczyły się go wadliwie, mają sobie wykładaną historyę w kształcie kalendarza, zawierającego same daty wojen i panowań królów, albo też w formie luźnych i niedokładnych opowiadań.

W książce pana B. znajdujemy w każdym razie dobre chęci i zamiłowanie przedmiotu; co zaś do zawartych w niej skazówek, niektóre sa trafne; widocznie jako owoc własnej praktyki pedagogicznej; na inne zgodzić się nie możemy. Tak rozdział III,„traktujący o przygotowaniu umysłu dziecka do rozumienia historyi, zawiele wymaga takich przygotowań. Dokładne i jasne zrozumienie wszystkich napotykanych w nauce dziejów pojęć i wyrazów, mające poprzedzać wykład historyi, musiałoby chyba złożyć osobną naukę: naszem zdaniem, znaczenie takich wyrazów jak bitwa, katastrofa, traktat, przymierze, itd. wyjaśnia się umysłom dziecinnym stopniowo i w samym właśnie wykładzie historyi; ścisłe zaś określenia takich pojęć jak *kraj*, *naród*, *państwo*, albo rozmaitych form rządu nie jest nawet przystępnem dla początkujących dzieci. Zresztą podawane przez pana B, określenia są częstokroć błędne jak np. „*kraj z narodem*, będącym pod jedną najwyższą władzą, zowie się państwem (str. 12): wiadomo przecie każdemu, że państwo może obejmować wiele krajów i wiele narodów; podobnież znajdujące się na tej samej stronicy określenie rzeczy pospolitej.

Drugi punkt, w którym odmiennego jesteśmy zdania, jest to wymaganie autora—ażeby dzieciom wykładane były jedynie rzeczy główne, zasadnicze (str. 15) i przytem w ściśle chronologicznem następstwie (str. 16). Nic nie może być, na pozór, słuszniejszego nad te wymagania, a jednak i w jedném i drugiém, jak przekonywa nas praktyka, wypada uczynić ustępstwa, zupełnie naturalne, zwłaszcza, gdy zgodzimy się na zupełnie słuszne zdanie autora, że kurs historyi powinien być podwójnym: krótszy i elementarny dla początkujących, obszerniejszy i wyższy dla starszych (str. 16). Czy istotnie więc kurs elementarny ma zawierać, rzeczy główne i zasadnicze, i w ściśle chronologicznym porządku? Główném i zasadniczem w historyi jest rozwój instytucyj państwowych i wzrost cywilizacyi—rzeczy mało jeszcze przystępne umysłowi dziecka, wymagające pewnych przygotowań. Sądzimy, że ta właśnie nieprzystępność prawdziwego znaczenia historyi dla dzieci jest głównym jeśli nie jedynym powodem podziału historyj na dwa kursy, bo gdyby chodziło tylko o większą lub mniejszą ilość faktów, to nie byłoby rozumnej zasady takowego podziału: nauka historyi mogłaby sobie ciągnąć się dłużej i jak najmłodszym dzieciom mogłaby być szczegółowo wykładaną, bo co się tyczy pamięci, nietylko ze pamięć dzieci od lat 10 do 12 nie jest słabszą od pamięci wyrostków pomiędzy 12 i 16 rokiem, ale bodaj nawet jest swieższą i lepszą.

Tak więc kurs początkowy powinien jedynie przygotowywać dzieci do owych rzeczy głównych i zasadniczych, stopniowo podając takowe w miarę, jak się stają dla dzieci przystępnemi. Nie podobna więc z początkowego kursu historyi dla dzieci usunąć całkiem wielu szczegółów istotnie drugorzędnych, lecz zajmujących, które odpowiednio do wieku i natury dziecka, urozmaicają i ożywiają wykład. Co się tyczy nakoniec chronologicznego następstwa, utrzymując je, wypada jednak czasem w kursie elementarnem od niego odstępować: wiadomo np, że w dziejach starożytnych wiele mają znaczenia pojedyńcze osobistości i że ten dział historyi najłatwiej daje się, przynajmniej w znacznej części zawrzeć w pojedyńczych biografiach wielkich mężów przy czem chronologiczne następstwo chwilowo może i ucierpieć wobec wyższych względów pedagogicznych.

W kwestyi pamiętania dat chronologicznych, pan B. z wszelką słusznością odzywa się niezbyt korzystnie o rozmaitych systemach mnemonicznych, które w gruncie rzeczy nie doprowadzą do niczego, choćby dla tego samego, że zamiast użyć pamięci, obarczają ją jeszcze więcej, komplikując jej zadanie: potrzeba np. spamiętać tylko datę, a dla wrzekomego ułatwienia potrzeba jeszcze spamiętać miejsce pewnego kwadracika w tabliczce Jaźwińskiego. Pozwalamy sobie tylko dodać, że nie mając wysokiego wyobrażenia o całej owej chronologicznej mnemonice, nie wyłączamy i proponowanej przez samego pana B. metody porównawczej, synechronistycznej mnemoniki. Jeżeli bowiem wrażam sobie w pamięć że w tym samym roku umarł Władysław IV i zawarto pokój Westfalski; opiera się to już na znajomości daty 1648. Gdybym zaś, przypuszczam, zapomniał tej daty, wtedy czy mi do jej przypomnienia pomoże świadomość że zapomniany przeze mnie rok, to ten sam, w którym umarł Władysław IV i zawarto pokój Westfalski? Niewszyscy mają zdolność do spamiętania dat chronologicznych, wszelako większość uczniów, i bez sztucznej mnemoniki, zatrzyma w pamięci daty główniejsze, a co do reszty—niechaj tylko dokładnie pamiętają stulecie.

Inne skazówki autora, tyczące się metodyki samych wykładów, pomocniczych nauk historyi itd. są w ogólności trafne, choć nadzwyczaj krótkie i pobieżne. Trudno bo też na 47 stronicach podać wyczerpujący i dokładny przewodnik dla nauczycieli historyi. Ta nadzwyczajna pobieżność, w połączeniu z powyżej wykazanemi głównemi usterkami, zostawiają książeczce bardzo niewiele cech dodatnich i czynią pożytek jej wątpliwym, Sam przedmiot zasługiwał na dokładniejsze i staranniejsze opracowanie.

W stylu i języku książeczki (której w żaden sposób nie można szumnie nazwać „tomem") przebija się pewne zaniedbanie, jakby pośpiech od ręki. To też niebrak błędów jak np: „narody osiadają na ich *miejsce (u)* (str. 1);" środków *przez jakie* (zam *którymi* str. 2); „przyznanie się o tyle jest *korzystną*" (str. 3) „po *przejściu* wakacji" (rusycyzm str. 24). Dziwnie trochę brzmią takie wyrażenia jak „stan chłopski" (str. 12), „wizyta Otona III" (str. 16), albo „ważna *strona owoców, jakie* (które) przynieść powinna nauka historyi" (str. 2).

Widocznie w pośpiechu autor popełnił także kilka błędów historycznych: wiadomo np. wszystkim, że w królestwie elekcyjnem Zygmunt III nie miał żadnych „*praw do następstwa po Stefanie Batorym*" (str 29) i że Sokrates nigdy nie „uczył matematyki" (str. 33). *L. Sz. W;*

SZKIC
LITERATURY ROSSYJSKIEJ.
(Ustęp z dzieła Konstantego Petrowa p. t. Obraz literatury rossyjskiej).

III.

WIEK XVII.

Poezya ludowa.

(Ciąg dalszy).

Zauważano także rażącą nierówność zachodzącą między młodszymi i starszymi członkami rodziny; starsi trzymając się ślepo zastarzałych tradycyi, stosowali do nich swe postępowanie i nawyknienia, zaś młodsze pokolenia, czując swą siłę, tem niechętniej znosiły jarzmo pod jakiem je trzymano, iż wiedziały że nie są w stanie go zrzucić. Niezadowolenie panujące tak w publicznem jak prywatnem życiu, przebijało się w rozmaitych powieściach i śpiewkach, które wykazując wiele ówczesnych nadużyć, uzupełniają obraz dawnych obyczajów rossyjskich.

W powieściach przedstawiane są sceny z starodawnych obyczajów, sięgających epoki przedhistorycznej, jednak stopniowo zaczęły tracić swą cechę mityczną i rycerską i zamieniać się w satyry życia społecznego. Zamiast osoby najczęściej występują w nich zwierzęta; jak niedźwiedź, lis, wilk, szczupak, jeż, kot, zając i owca, uosabiając dane cechy charakterów ludzkich; z tych powieści najcelniejsze są: *Sąd Szemiaki, Prawda i fałsz, Historya, Jersza Głupi Iwanuszka.*

Ogólne niezadowolenie ludności wyrażało się w takich formach, jeżeli gwałt i niesprawiedliwość nie dotykały wyłącznie tego lub owego; wtedy bowiem wrażenie bywało silniejsze, i objawiało się wybitniej, szczególniej jeśli plagi te dosięgały jaką istotę energiczną i samodzielną, budząc w niej chęć wyzwolenia i zemsty.

Podczas średniowiecznych zaburzeń politycznych, ucieczka stała na porządku dziennym. Wszelkiego rodzaju malkontenci i prześladowani, uciekali na brzegi Donu i Wołgi do kozaków, trudniących się rozbojem; tam szukali pociechy i zemsty za doznane krzywdy, już to nad ich sprawcami już nad całą klassą społeczną do jakiej ciż należeli. I tak kozacy zamienili się w awanturniczych łupieżców, których jedyną cnotą była śmiałość posunięta do zuchwalstwa.

W wieku XVII-ym, gdy zaprowadzono prawa i przywileje przysługujące panom, liczba tych rabusiów zwiększyła się znacznie z powodu licznych zastępów chłopów przyłączających się do nich, którzy uciekali przed poddaństwem. Doszło do tego, że nie raz rząd musiał wysyłać liczne wojska na ich poskromienie. Pieśni tego cyklu opiewają wyprawy tych rabusiów dodając, że często, aby uniknąć pogoni, uciekali się do podstępów darzących ich czarnoksięzką władzą; i tak n. p. tajemniczym jakimś sposobem niknęli w wiadrze wody lub w łódce namalowanej na ścianie; zakuci w okowy łamali je jak słomkę i jedną ręką pokonywali całe dziesiątki swych nieprzyjaciół. Takie pieśni nie tylko opiewają śmiałość, siłę, odwagę i podstępy tych rozbójników, ale głoszą także pewną właściwą im wspaniałomyślność.

Jakoż rzeczywiście, zdarzało się często, że nowi ci rycerze napadali na właścicieli głośnych ze swej srogości, mścili się na nich za złe obchodzenie się z poddanymi, i niejednokrotnie zabierali majątki bogaczom, aby je rozdać biednym. Czasami znowu spowiadali się i sami oddawali w rece władzy, wyznając wszystkie swoje zbrodnie, ale nigdy nie zdradzali współtowarzyszy.

D. c. n.

Przyjaciela Dzieci Nr 35 wyszedł z druku i zawiera:

Powabna zosia.—(Chrystus nauczający drzeworyt). Chrześcianin w obec stworzenia.—Listy z wakacyi przez autorkę podróży Kazi.—Pogadanka z ojcem XLIX.—Opowiadania z prawdziwych wydarzeń.—Czyny nauczające.—Szarada.—Zadanie gramatyczne.—Rozwiązanie Szarady.—Rozwiązanie zadania arytmetycznego.—w Dodatku: Dłubałki.—List od Józia.—Praca, wiersz.—Na kawie w saskim ogrodzie.—Porządny chłopiec.—Jesiotr, (drzeworyt).

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk E. Skiwskiego, w Warszawie, Elektoralna Nr 758 (28 nowy). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca **J. K. Gregorowicz.**

Dodatek.